



Halina Migal

Sygnatura notacji: **N1397**

Data urodzenia: **16.01.1959 r.**

Data nagrania: **23.10.2019 r.**

Miejsce nagrania: **Seminarium Duchowne, Gródek, Ukraina**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **49 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Halinka Migal: Przywitam się. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Niektórzy mówią: „Na wieki wieków amen”. Nazywam się Halinka Migal, chrzczona Helena i 16 pierwszego [stycznia] 1959 roku urodziłam się w wiosce Mądre Głowy, to koło Gródka 12 kilometrów i tam mieszkałam z rodzicami sześć lat, a później przeprowadziliśmy się do Gródka i tutaj już w Gródku szkoła i takie dalsze lata z rodzicami. Było nas w rodzinie pięcioro dzieci. Starszy brat i najmniejszy brat, i trzy siostry. To znaczy pięcioro nas było. Matka nigdzie nie pracowała, bo była tak... Miała nas pięcioro i jeszcze swoich rodziców, dziadka i babkę. Trzeba było ich doglądać. Ojciec jeden pracował na nas. Było ciężko nam, dlatego że jak przyjechaliśmy tutaj z wioski, nam dali jeden taki mały pokój, że nas tam wszystkich z rodzicami dziewięć osób trzeba było pomieścić. Nawet teraz sobie nie można wyobrazić, jak my tam spaliśmy, bo byliśmy małymi wszystkie, i potem ojcu dali większe mieszkanie, i tak poszliśmy tutaj do szkoły. Jak miałam siedem lat, poszłam do szkoły wtedy, do pierwszej klasy i tam przeuczyłam się osiem lat. Potem poszłam do takiej pracy, jakby powiedzieć, uczyć się na szwejle [ros. szwaczkę], żeby żyć. Przyuczyłam się i potem zostawiłam to wszystko, pojechałam do Chmielnickiego, żeby tam uczyć się na buchaltera i później pracowałam buchalterem, później już była praca przy kościele. Chcę powiedzieć chwilę tak o swoich dzieciennych latach, o tym wszystkim, jak było w szkole, te czasy, prześladowanie naszej wiary, takiej polskości, bo nikt nie chciał tego przyjmować. Zaczynając od pierwszej klasy do ósmej, tak jak uczyłam się, bo potem już taka była, jakby, załóżmy uczyłam się trzy lata, to każdy raz, kiedy chodziliśmy do kościoła, bo nasza mama z ojcem byli bardzo wierzącymi, chodziliśmy do kościoła i jakby powiedzieć, nie były takiego dnia, znaczy niedzieli, żeby opuścić to wszystko, żeby mszę świętą opuścić, to musieliśmy chować się za babcię, za spódniczkę, gdzieś tam w kącie stać. Była jeszcze mała kapliczka. Za księdza Jana Olszańskiego, teraz biskupa. I trzeba było się chować, dlatego że pilnowali wszyscy. Kiedy przychodziłam do szko-

ły na lekcję, to na lekcjach, lekcje zaczynały się od tego, że pytali się mnie: „Byłaś w kościele?” – „Byłam”. I tak było prawie każdego dnia. Nauczyciele przychodzili do nas, żeby tak powiedzieć, prawie każdy dzień. Do matki, że: „Po co ty te dzieci wozisz do kościoła?” I tak przez tych osiem lat: „Po co ty ich wozisz, po co ty ich wozisz?” I jednego razu tak było w klasie, wszyscy siedzą, nie podejmują, „Po co ty chodzisz do kościółka?” A ja tak mówię do niej, do tej naszej nauczycielki, mówię: „Czy to lekcja dzisiejszego zajęcia?” A ona tak popatrzyła na mnie i już więcej starała się mnie jakoś tak nie zaczepiać. Przeszły lata, już kiedyś my spotkaliśmy się tak już po szkole, to już ci studenci, no, już z tymi kolegami, z którymi się uczyłam to wszyscy mówili: „Jak to ty jej tak powiedziałaś, my już do tej pory to pamiętamy, że ty jej powiedziałaś”, że to nie jest lekcja uroku, żeby każdy raz o wiarę pytać się mnie. No, każdy raz na linijkach, to wyzywali, nas pięcioro było, my wszyscy wychodziliśmy i jeszcze tam dużo dzieci wychodziło. I nam, była taka propaganda, że nie wolno chodzić i takie rzeczy, że po prostu to nie jest najgłówniejsze. W tym wszystkim skończyłam tych osiem klas, to napisali mi taką, jakby powiedzieć, charakterystykę, taki mój życiorys, że jest bardzo porządna, że bardzo wszystko robi, że jest taka... I wszystko robi to, co jej mówią, no [ale] przebywa pod wpływem swoich rodziców. I dlatego mając taką charakterystykę, ja nie mogłam nigdy pójść uczyć się, bo nikt mnie z tym nie przyjmował, bo katolik. Rodzice też... Ojciec, kiedy pracował, tym, szoferem..., Kierowcą. Aha, jako kierowca pracował całe życie, to też musiał się gdzieś chować, żeby tam nie widzieli, że chodzi do kościółka, bo za to wypędzali z roboty. Chrzczeni my byliśmy też w kościele, też tak cichutko gdzieś tam, żeby nikt nie wiedział, ale potem my do bierzmowania, do pierwszej komunii, to już byliśmy, no, wszystko jedno, słuchać trzeba było każdy raz w szkole, to wszystko o kościół, to już wtedy jakoś tak przyzwyczaili się i nie bali się tego wszystkiego. Kiedy już po tym wszystkim, nie mając takiej charakterystyki dobrej do swojego życia, poszłam uczyć się na szreję [szwaczkę]. Uczyłam się i to był taki mój, jakby powiedzieć, dar od Boga i takie na całe życie szrejem pracowałam. Potem już poszłam, w takich latach uczyłam się nawet jeden rok w Chmielnickim, żeby być na radiozawodzie [fabryce radioodbiorników], takim montażystą być, coś, nie wiem jak to po polsku powiedzieć, takie rzeczy wszystkie ładować do radio tam, robili radio, zło tam bardzo wielkie było. Później mi się to nie spodobało, poszłam na buchaltera pięć lat, odpracowałam koło domu, buchalterem, prowadząc takie sprawy, które mi dawali i później poszłam do kościółka pracować. I tak już od ósmej klasy, jak skończyłam w 1974 roku, to już tak cały czas do 2004 roku dzień w dzień byłam w kościele, bo także i nocowaliśmy, i adorowaliśmy, i więcej było się w kościele, jak w domu. I matka polegała na tym, że my zawsze byliśmy w kościele. To jakie były adoracje? Bardzo dużo było ich adoracji i na pierwszą niedzielę, i na święta wielkie, to my zawsze chodziliśmy na adoracje nocne. Było dużo młodzieży i wszyscy adorowali i tak żywo, taka wiara była, nie bali się tego, że tak ktoś chodził i pilnował nas. Tam przychodzili, ale nam już to było jakoś... My widzieliśmy, że idziemy, a jeszcze u nas było tak, że kościół budował się, był mały, potem stał większy, większy i pracując przy kościele jako sprzątaczką, była oficjalnie, jakby powiedzieć zapisane było, że pracuję, przy księdzu Wanagsie, Władysławie Wanagsie i od tej pory, kiedy on tutaj był, to każdy dzień towarzyszyłam jemu w tej pracy i ile pracy on zadawał, to nawet teraz siedząc, dziwię się, że mogłam to wypełnić wszystko, bo tak, było że seminaria były, początki seminarium, ja w tej seminarium byłam tak, sprzątałam księżom, i na kuchni wszyscy prowadziłam, i gdzie sprzątnąć, wszystko takie organizacyjne sprawy to wszystko ja robiłam. Później jak seminaria już tak większa stała, to już pracowałam w kościele. Mieszkałam przy seminarium, mieszkałam potem na tym domu, gdzie ksiądz Wanags dziewięć lat prawie tam i pracuję w kościele, to już dziennie, nawet do domu było rzadko, że chodziłam. Praca była taka, że posprzątać koło ołtarza, uprasować to wszystko, poubierać ten ołtarzyk, kwiaty postawić, bilanek poubierać, było dużo dzieci do adoracji, trzeba było wszystko, uprać te sukienki i ubrać ich i żeby było ładnie, jeszcze kwiatów

nabrać, bo były bardzo ładne procesje, że sypali kwiaty, takich osiem dziewczynek, wielkich, w koszyczkach, ładnie ubrane, tak że młodych szła nie tylko taka malutka jak teraz idzie, ale takie 18–20 lat dziewczyny wszystkie biegły i bili się, żeby adorować i taka była żywsza wiara w tym wszystkim. I pracując przy kościele, to szyłam, bardzo dużo szyłam. Ksiądz Wanags, on tak sam pracował ciężko i ja z tym samym zaangażowaniem, mieszkając też przy kościele, tam miałam pokój taki, nawet nie chodziłam do domu, to tak szyłam i ornaty, i obrusy były, i baldachimy, i chórągwie, na wszystkie parafie te, co on budował, a ja siedziałam i to szyłam. Pewnie, że nie sama. Pomagała mi młodzież, przychodziło dużo chłopców, dziewcząt, że pomagali mi. I później jeszcze takie były, że każdy rok musiały być szopki, grób pański, ciemnice, tak że młodzież bardzo chętnie zaangażowała się i wszystko to robili. Też były takie momenty, że trzeba było i scenki robić, męki pańskiej też robili, młodzieży było dużo. Potem przez jakiś czas już zajmowałam się i katechezą. Skończyłam kurs katechetyczny w instytucie, skończyłam kurs ten, mam też dyplom, że skończyłam go i katechizowałam bardzo dużo dzieci. Chyba jeżeli tak powiedzieć, to do 300–400 dzieci przeszło przez moje nauczanie, poczynając z pierwszej klasy do 18 lat. Więcej zajmowałam się takimi pierwsza, druga, trzecia, pierwszokomunijne, szósta, siódma, nieraz za kogo tam nie było, to prowadziłam te lekcje z tymi dziećmi. I najgłówniejsze to było, że było takie wesołe życie. Te dzieci zbierały się wieczorami, byli takie... Ksiądz Wanags nigdy nie zabraniał, jeszcze tutaj nie było takiej dobudówki, były ogniska, były takie spotkania młodzieży, przyjeżdżało dużo księży z Polski, tutaj pracowali z nami, tak że było takie piękne życie. Ksiądz Władysław był takim, jakby powiedzieć prawidłowo, gorliwym bardzo kapłanem. Naprawdę bardzo gorliwym kapłanem. Przepracowałam z nim cały czas. Trzeba było i modlić się, i te prześladowania, kiedy budował już ten kościół, to jemu nie pozwalali tego robić. Nam trzeba było... On szedł do władzy [władzy], a my stawaliśmy na kolana koło świętego Antoniego obrazu i modliliśmy się. Modliliśmy się długo do tej pory, dopóki ksiądz nie przychodził i jeszcze braliśmy dzwoneczki, dzwoniliśmy do Antoniego, żeby on słyszał tam w niebie, że nasz ksiądz poszedł tam do władzy, Do Chmielnicka chodził do władzy, modlili się. Tutaj do władzy też modliliśmy. Bo szarpali, jego dużo szarpali, bardzo szarpali jego i jakby nie ta modlitwa, to w nocy modliliśmy się po tysiąc „Zdrowaś Mario”, po tysiąc „Ojcze nasz”. Było pełno ludu, wszyscy modlili się, żeby ta budowa zaczęła się. Kiedy ksiądz, tak pamiętam jeden raz, taki projektor [projekt] zbudował. Jemu pozwolili troszeczkę, a on takie boczne nawy, kaplicę o kształcie krzyża zrobił. Kiedy poszedł do państwa, oni mówią: „No, co wy nam przynieśli, jak wy..., tutaj nie to, że my daliśmy...”. Mówi: „Jak to będzie kościół bez tych bocznych ołtarzy” i nie chcąc jemu dać, ale nasza modlitwa, jakby powiedzieć dopomogła jemu i nam wszystkim, tutaj w Gródku jest teraz taki piękny kościół. Ksiądz Władysław bardzo dużo modlił się. Kiedy nocowałam tutaj w kościele, sprzątnąc tak do 11:00, do 12:00 nieraz, bo w dzień nie mogło to wszystko... jak w dzień jadę z dziećmi, to wieczorem trzeba ołtarz przebrać, sprzątnąć to wszystko uprać, uprasować, jeszcze sutannę szyłam i to wszystko. Teraz naprawdę podziwiam sama siebie, że to wszystko robiłam i potem, kiedy już nie mieszkałam w kościele, to już mieszkałam tam na tym budynku, gdzie on kiedyś mieszkał, ksiądz, tam dziewięć lat tam przeżyłam w tym domu, to też do nocy byłam tutaj, chodziłam tam nocować, to też widziałam, że modlił się, krzyżem leżał koło świętego Antoniego. Bardzo dużo modlił się. Tak raz było kiedyś, że kiedy seminarium było, on zawoził tutaj meble i mówi do mnie: „Halinko, chodź tutaj”. Ja szybko lecę tam do niego: „Co się stało?” – „Bierz”, a on taką wersalkę ściągą z samochodu, mówi: „Bierz”. Ja z tego wszystkiego biorę tę wersalkę, i tak wzięłam, i podniosłam z samochodu, i ona wypadła mi... „O, ty jesteś silna, no nie utrzymałaś”. Mówię: „Ojcze, to już nie dla mnie takie ciężkie te rzeczy brać”. A on tak nie patrzył, no, bierz i rób, i wszystko. Tak że pracy dużo było. Kiedy pracowałam z dziećmi, to każdego roku jeździliśmy na wycieczkę do Polski. Wozłam ze sobą po 30, po 60 dzieci. Nieraz było tak, że po dwa razy w roku jeździliśmy. I z tymi

dziećmi wracaliśmy, i dzieci były zadowolone. Byliśmy w takich różnych miejscach, bardzo nas przyjmowali w Polsce. W jednym takim miejscu byliśmy prawie miesiąc z tymi dziećmi i to my obchodziliśmy za ten czas wszystkie góry. Ja już z tymi dziećmi, gdzie dzieci szły, tam ja szłam, bo wszystkie góry trzeba było im obejść, nawet na tej [niezrozumiałe] byliśmy, śnieżna góra taka, zapomniałam, jak nazywa się. Wszystkie góry, za miesiąc byliśmy. I jeszcze raz byliśmy w jednym kościele, też nas bardzo ksiądz ładnie przyjął, był miesiąc dzieci, to każdego dnia dzieciom po butelce oranżady, bo takie torby tych słodyczy im. Jak jechali już do domu, to wieźli po całym tornistrze do szkoły, zapakowane im wszystko. Dzieci były takie zadowolone, szczęśliwie śpiewali, byli w Polsce razem z polskimi dziećmi, współpracowali, tak że było ładnie. Kiedy ksiądz Wanags gdzieś jeździł na takie na parafii czy gdzie, każdy raz jeździłam z nim, bo jeszcze taki na chórach trzeba było śpiewać rano godzinki, tam do świętego Antoniego, tam do Matki Bożej, każdego dnia o 6:00 trzeba było mi być na chórze, już śpiewać, bo ksiądz Wanags powiedział, żeby śpiewać, i wieczorem na służby, tak że prawie cały dzień byłam w kościele i to wszystko trzeba było zrobić. Wiem, że to nie moja taka zasługa w tym wszystkim, a pomoc Boża, łaska Boża, bo naprawdę ten talent do szycia i do tej sutanny, do tego wszystkiego, nie było takiego czasu, żeby uczyć się. Było tak, że nauczyłam się szyć, igłę trzymać a żeby to wszystko nauczyć się, to tak jakoś nie było. Powiedzieli mi: „Ucz się, dziecko, ze starych ornatów, z tego wszystkiego”. Tak popatrzyłam tam gdzieś kiedyś, ktoś szkoły i wtedy zaczęłam te chorągwie szyć, teraz nieraz patrzę na parafię, gdzie jadę, patrzę, o, to moja praca, robiłam. Takie zasłonki te wyszywałam. Księża noszą strój i ornaty, i prałam je, i zszywałam je do kupy, a te, co noszę przenajświętszy sakrament, bursy takie też wyszywałam im. I stuły, i wszystko. I jakoś Pan Bóg pozwalał, że było w tym jakoś i czas, i zaangażowanie, jakoś i chęć, to wszystko jakoś robiło się. Teraz to wszystko jest, bo wszystko z Polski przywozi się, wszystko jest w sklepach, a wtedy nie było. Trzeba było samemu kupować, robić to wszystko i to szybko trzeba było, bo już na niedzielę odpust trzeba, że była procesja, żeby byli chorągwi, żeby był baldachim, żeby dzieci były ubrane i trzeba było jechać. Trzeba było na nowy rok zrobić taką scenkę Boże Narodzenie, trzeba było pojechać w jedną wioskę, w drugą wioskę, żeby ksiądz z nami jeździł, żeby te dzieci występowały tam i przedstawiali to wszystko, i trzeba było te stroje im zrobić, trzeba było ich ubrać jak święta rodzina, jak szopka, jak te pastuchy, to wszystko trzeba było to zrobić. I ksiądz Wanags zawsze, kiedy jeździł, to zawsze modlił się. Nie było tak czasu takiego, żeby on nie modlił się. Jeden raz jechałam z nim do Polski, to całą drogą i tak, ja prowadziłam różaniec, ja śpiewałam mu całą drogę jak magnetofon, ja mówię, już nie mogę, on mówi: „Śpiewaj, bo trzeba, żeby całą drogę trzeba modlić się”. „To jak nie możesz modlić się, to śpiewaj”. No, śpiewam już. Widzę, że on już zasnął, a różaniec, modlimy się, on przysypia, na pierwszej, a my już na piątej i mówi: „A czemu tak?”, ja mówię: „Ojczy, wy przespaliście”. – „No, dobra. Modlimy się dalej”. To do Polski to trzeba było jechać z półtora dnia i trzeba było cały czas modlić się, bo nie było u niego takiego, żeby siedzieć i tam na przykład odpocząć sobie. Mówił, że nie można marnować czasu, trzeba zawsze rozmawiać z Bogiem, trzeba zawsze być jakby bliżej Boga.

Tomasz Sikorski: I takie pytanie, w jakich latach do Polski z tymi dziećmi jeździliście?

Halinka Migal: 1994 rok.

Tomasz Sikorski: Czyli to już było po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości.

Halinka Migal: Tak, bo ja to pierwszy raz jak wyjechałam do Polski, tutaj księża przyjeżdżali. Wyjechałam do Polski z taką koleżanką, byliśmy tam miesiąc, to do Polski zajechaliśmy dobrze. I przyjechaliśmy z Polski, tam byliśmy ze wszystkimi, tam nabrali tak sobie i książek nam ludzie nadawali w Polsce, taką całą walizę im wieźliśmy tego wszystkiego. Kiedy przyjechaliśmy na granicę, na granicy popatrzyli, że my tu tyle wieziemy, antypropaganda, to wszystko trzeba zostawić, taką Matkę Bożą mi dali i takie książki, takie biblie w kolorowych obrazkach i tam nadawali, mieliśmy biskupa, i biskup brewiarze, i tam dla księdza nadawał, na księży nadawał i my to wszystko wieziemy, na granicy zabierają od nas to wszystko. „Jak to zabieracie?”. Ja to już tak przeżyłam, że on do mnie, ten celnik ciągnie Matkę Bożą, a ja do siebie, on do mnie, a ja do siebie. Mówię: „Nie oddam”. „Wracamy do Polski, tam będziemy żyć”. „Już nie można, bo przyjechaliście”, Polacy puścili, Ukraińcy nie puścili. Do mnie Matki Bożej, ja do siebie. I zabrałam tę Matkę Bożą, tak mnie źle stało [zrobiło się], zemdlałam i padłam z nią. Nie oddałam tej Matki Bożej i wyciągnęli mnie na ulicę, polali to wszystko i za bramę to wszystko. To zabrali. Akurat tak Pan Bóg dał, że ludzie z Polski jechali, my im to podali, to oni potem tak po trochu te książki nam podali. To taki mój był pierwszy wyjazd do Polski. W Polsce była przy tym jeszcze, trzy razy była na takiej pielgrzymce, to sama z młodzieżą jeździliśmy, byliśmy na tej pielgrzymce, z Rzeszowa szliśmy do Częstochowy trzy razy. Byli zaprzyjaźnieni z takim biskupem Edwardem Białogłowskim i on przyjeżdżał tutaj do nas, i tak jakby powiedzieć to wszystko, wspomagał nam, bo jeżeli by nie on, to my nie trafiliśmy na to, bo pierwszy raz po Polsce, jakby powiedzieć, dla nas nie widzieliśmy, nie widzieliśmy takiej kultury, takiej... Ładnie w Polsce jest, u nas też jest ładnie, ale tam jest taka swoboda większa, i do kościoła można było iść, i modlić się, to on nam pomagał to wszystko, ale szliśmy, jakoś tak nogi nie bolały, w takich klapkach, widzę, że wszystkie w takich butach ciężkich, a my w klapkach poszliśmy, przyszliśmy po 30 kilometrów trzeba było dziennie iść. Dziesięć dni, o 5:00 wstawać i przyszliśmy, było dobrze, a potem już w końcu z młodzieżą, z dziećmi jeździłam, kiedy katechizowałam, to w takich czasach jeździliśmy z dziećmi.

Tomasz Sikorski: Mówiła pani, że jak ksiądz Władysław zajmował się załatwianiem spraw, żeby kościół wybudować, to że władze tutejsze robiły trudności, ale to już było po odzyskaniu niepodległości przez Ukrainę?

Halinka Migal: Tak mniej więcej jeszcze można było, ale nie można było.

Tomasz Sikorski: Ale to już było po niepodległości, tak?

Halinka Migal: Tak, tak, tak. – Czyli jeszcze cały czas takie klimaty jak... Cały czas. Ja powiem panu, że 1985 do 1990, tak w tych latach oni, takie było... Nie pozwalali, nie pozwalali. Przychodzili tak, [niezrozumiałe], przychodzili, jeszcze nie było kościoła, bo już teraz było poświęcanie kościoła, 25 lat to było. To przedtem był, jeszcze kościół nie był wybudowany, tylko tak część była wybudowana, to podpalili, rzucili butelkę z takim [niezrozumiałe], rzucili na zakrystię taką malutką i to w nocy paliło się. Ksiądz Wanags, kiedy wyleciał z zakrystii popatrzył, że kościół się pali, nie pytając się, nie wiem, jak on wyskoczył na ten, to tam chyba trzy metry były do góry, on wyskoczył na to wszystko i zaczął to rozbierać, gasić rękami, bo tak były już... I sobie tak rękę spaliłby, to wtedy ludzie wybiegli, to już tam wodę podawali i gasili to wszystko. I najgłówniejsze to, że władza w nocy, 12:00 w nocy czy też 1:00 była, władza cała przyszła tutaj. Nie było pożarnych tych... Straży pożarnych. Straży pożarnych nie było, a władza była. Władza

patrzyła się, że to pali się i kto im powiedział o 1:00 w nocy, że to będzie podpalany kościół. Sami przylecieli i na ten widok, ale kościół był jakby uratowany, i później ksiądz już dobił się tych dokumentów, żeby jemu pozwolili budować. No i na budowie też takie różne trudności były, bo tak w nocy ziemię wynosiliśmy, żeby te jeszcze piwnice zrobić. W nocy ludzie wynosili. Tutaj takie, przy kościele była taka malutka... Seminarium teraz, taki był malutki domek, takie zbudowane, tam ludzie i jedli, i pracowali, i były takie mieszkania, to teraz seminarium jest rozbudowane, a później takie było malutkie, ciśnieńki i tam wszystkie były i w nocy ludzie nocowali, w nocy wszystko wynosili, już władza rano przychodziła, to już byli, już było do zalewania, już wszystko było gotowe, już nie wolno było tego zarzucać. I on umiał z nimi, przychodził, zawsze mówił: „Mir wam!” [pokój wam] i mówi: „Trzeba...” Czy gdzieś jechał nawet przy drodze był, policja nam powiedziała, żeby stanąć, to on powiedział: „Mir wam” i oni wtedy już tak miękli, i już puszczali, jego nie zatrzymywali. Mówi: „Ja jadę do chorych, ja jadę do parafii, ja nie mam czasu, to moja taka praca” i oni jego puszczali. Tak było. Moi dziadkowie, to mam po rodzinie matki, to ojciec, dziadek był w 1943 czy jakim to roku był wywieziony do Niemiec i tam cztery lata pracował na takim zawodzie [w fabryce], dlatego że był Polak, na takim zawodzie pracował, co samochody robili. Nie wiem, w jakim to miejscu, bo teraz nie może się tak dopytać nikogo i w archiwach nigdzie nie ma, ale potem, kiedy wrócił tutaj, pracował w takim kołchozie, jak to kiedyś to się mówiło, takie [niezrozumiałe] lepił, co tam było, jego posyłali. Babka też pracowała, zawsze z dziećmi była, bo u nich była dwójka dzieci, syn pojechał do, jakby powiedzieć, wzięli do wojska i zginął tam, nawet nie wrócił. Kiedy wracał, to w czasie wojny to były Niemcy, budowali taki most i z mostu coś rzucili, i zabiło parę osób, naszych tych żołdatów, że nie wrócili do domu. To nawet nie wiemy, gdzie jego mogiła. A rodzice, na przykład ojciec mego ojca, dziadek mój, Józef nazywa się, był Polakiem i jego zaarrestowali tylko dlatego, kiedy ojcu były cztery lata, zaarrestowali, mój ojciec pochodzi z 1931 roku i kiedy miał 34 lata, to jego zaarrestowali, zabrali ojca. Zabrali jego dlatego, że on był jakby agitatorom [agitatorom], polskim agitatorom, no, przeciwko władzy, agitował za Polskę, dlatego tylko, że był Polak i nie wahając się, do końca nie było tego badania, bo wtedy było bardzo dużo taki czas, że rozstrzelali wszystkich, nie pytali się nawet za co. Brali, wywozili i strzelali. Jest rozstrzelany w Kijowie, pochowany w brackiej [wspólnej] mogile, tylko że przyszedł papier, dobijaliśmy się, żeby zrobić kartę Polaka, że ktoś był Polak, bo wszyscy bali się, bo było napisane „Ukraińcy”. Na przykład moi dziadkowie po stronie matki napisani „Polacy” w tych domowych książkach takich gospodarczych, w tych kołchozach, napisani „Polacy” wszyscy, a już 50. lata to już napisane, że już Ukraińcy, już nie było, że Polacy. A ojciec..., ten umarł w 1938 roku i my połączaliśmy [ros. dostaliśmy] taki papier, że on tam był rozstrzelany i później przyszła taka wiadomość, że jakby jego rozstrzelali, ale niepotrzebnie rozstrzelali. Po prostu wzięli, zabili, bo był Polakiem. I jemu zrobili takie [niezrozumiałe], że on jakby zginął. I po tej porze, tak że ojciec przeżył bez dziadka, już 20 lat nie ma matki i w tym roku nie doczekali się 20 lat i dziesięć dni, mój ojciec zmarł też 10 lutego, matka 20 lutego, a ojciec 10 lutego. Też zmarł, jakby głównie to, że to jest takie, u nich taka była też, że jakby powiedzieć przyjaźń taka, taka miłość, że jak ona chorowała, to on tak pomagał jej, księża przywozili i te sakramenty, on siedział. Ja teraz na przykład nie spotykam tak, żeby tak w rodzinach mąż był za żoną jak oni. Już ona leżąca była i on trzy lata koło niej chodził, nie odchodził od niej i jeszcze przeżył 20 lat. I głównie to, że ona zmarła z soboty na niedzielę, i on z soboty na niedzielę. I ona 20., on 10. Dziesięć dni nie doczekał się i akurat w ten sam czas, kiedy matka zmarła i on zmarł. I w tym roku już odszedł do wieczności, i już tam mam nadzieję, że w niebie są razem. I za krótki czas, bo 31 sierpnia też siostra zmarła, 54 lata, też chorowała. To już tak nas zostało czworo. Teraz ja przy kościele nie pracuję, chodzę każdego dnia do kościoła, staram się raz w roku przy kościele robić dekoracje, to tak na Boże Narodzenie, ciemnica, grób, to takie wszystko, a bawię dzieci teraz, wnuków bawię siostrze swojej, bo jestem

teraz niezamężna, pracując przy kościele, po wszystkich kościołach jeździliśmy i katechizowaliśmy z księżmi i dużo takiej różnej pracy było. Tak jak dziadka zabrali w którym, w 1938 roku zabrali. Tak, w 1938 roku zabrali i tam był rozstrzelany. I rodzina nie wiedziała, co się z nim dzieje. Nie wiedziała. Zabrali go, a rodzinę wysłali, zabrali dom, skonfiskowali wszystkie, cały majątek i wysłali, jakby powiedzieć jeszcze tak na wiochę, to oni wrócili stamtąd, tam byli rok, żyli w takiej szkole, w takiej chałupie zarzuconej, że nie było ani warunków, nic dla dzieci, z dwójką dzieci i potem jak wrócili już do wioski swojej, [niezrozumiałe] tutaj jest koło... Gródeckie też.

Tomasz Sikorski: A gdzie byli wywiezieni?

Halinka Migal: Do Kupna byli wywiezieni i tam byli. Dawaliśmy wprost [ros. pytanie] do NKWD że byli wyprowadzeni, to oni powiedzieli, że: „My o tym nic nie wiemy, że oni byli wysłani”. Dlatego, że teraz, wiedzą że którzy byli, no, wysłani za takie coś do swoich rodzin, to teraz którzy byli w Kazachstanie, to teraz mają jakieś takie [niezrozumiałe] do Polski i dlatego tak jakoś zamilczają to wszystko, i nie chcą tak dokładnie tego, że oni byli wysłani, że oni wszystko zabrali, skonfiskowano wszystko. Konfiskowali wszystko. Było rozstrzelane i już co z rodziną dalej im, to nie. Głównie to [niezrozumiałe], że był Polakiem i na tej zasadzie można było zrobić kartę Polaka i już teraz mam dziesięć lat kartę Polaka, już trzeba wymienić drugi raz, żeby można było pojechać do Polski.

Tomasz Sikorski: A w którym roku babcia się dowiedziała, co się stało z dziadkiem?

Halinka Migal: Babcia się dowiedziała w 1931 [1941] roku, w 1938 roku jego rozstrzelali, ojcu było cztery lata. To znaczy za cztery lata, 1931 [1941], za 3–4 lata dowiedziała się, że...

Tomasz Sikorski: W 1941 roku, tak?

Halinka Migal: Tak. Że jego nie stało. A my to tak, to już dzieci, my już jako wnuki jego, to dobijając się tak, żeby zrobić kartę Polaka dziesięć lat temu, to wtedy zaczęliśmy, nawet 12 lat temu zaczęliśmy badać, kto nasi rodzice, dziadkowie, żeby, jak była już taka wolność tutaj, że można było wyjechać swobodnie do Polski, to już wtedy my mogli... Bo tak jak jeździliśmy do tych lat, 12 lat temu, to zaraz, no, dwutysięczne lata to jeździliśmy tak po zaproszeniach, do 1994 rok to po zaproszeniach jeździliśmy. Przesyłali nam z Polski zaproszenia albo takie wyjazdy były grupowe dzieci, zaproszone, to tak wyjeżdżaliśmy, a już lat 12 to już tak można było zrobić kartę Polaka, tak sobie swobodnie ludzie robili i ja to na przykład, ja mam już dziesięć lat, już muszę teraz zmienić to wszystko.

Tomasz Sikorski: A w którym archiwum znalazła się informację?

Halinka Migal: Z Kijowa przysłali z archiwum.

Tomasz Sikorski: Z Kijowa. Przez Chmielnicki, w Kijowie to wszystko. Miejsce śmierci jest podane?

Halinka Migal: Nie jest gdzie, Bracka Mogiła napisane.

Tomasz Sikorski: Ale w Kijowie był rozstrzelany.

Halinka Migal: Tak, w Kijowie rozstrzelany, a potem przyszedł taki papier, że my współczujemy i było tak, że płacono, w 2015 roku... Nie, w 2010 roku było to. Wypłacono było, że taka jedna pensja jego to niby zapłata. No, taka mizerna, taka, żeby od tego, [niezrozumiałe]. Teraz, żeby odnaleźć polskość, to tak chodzimy po tych... Na wiosce są jeszcze te gospodarskie książki. W tych książkach gospodarskich [parafialnych] można, albo przy kościele takie książki zapisane, że Polak był chrzczone, ksiądz daje zaświadczenie takie, bo tak, to więcej... Dużo archiwum popa-liło się, dużo nie chcą szukać, dużo wywieźli, tak że takie zamieszanie było, bo powiedzieli: „Widzę, że wszyscy chcą jechać, wszyscy Polacy” i teraz dobrze, że tak jakoś dokumenty muszą podać, bo dużo takich, którzy nie byli Polakami, stali już Polakami, bo już swobodnie jechać można było, a tak dobrze, że tak i mowa powinna być. Ja to na przykład, jak zdawałam konsulowi, to on popatrzył, mówi ten, miałam zaświadczenie, bo byłam w takim stowarzyszeniu Polaków, tutaj u nas był chyba przez pięć lat więcej, taki był Staszek Kustecki, to mnie... Ja przyszłam, to wszystko konsulowi powiedziałam, opowiadałam, to on mówi: „To pani dobrze po polsku rozmawia, to niech powie, kiedy Chopin...” Nie, kto był kompozytorem polskim? Ja mu powiedziałam Chopin, jeżeli nie mylę się, a on: „To dobrze, dobrze” Tak my sobie pogadali za księdzem Wanagsem [o księdzu], tak zdałam te egzaminy, on powiedział, że: „To dobrze, że pani rozumie polską mowę”. Taka rzecz była. No. I tutaj byli u nas co, bierzmowania były, biskup ten Olszański, który zmarł, zaraz biskupem był, to przyjeżdżał tutaj, udzielał tak... Księża przyjeżdżali, to bym powiedzia-ła, że tak [niezrozumiałe] spowiadali takich malutkich, w takich budkach chowani byli, żeby nikt nie widział, żeby ludzie podpowiadali się, bo było trudno do spowiedzi. Niektórzy ludzie to jeździli aż Chmielnickie na Hreczany, żeby tam dzieci pochrzcić, żeby tu nie wiedzieli, żeby nawet nikt nie wiedział, że oni dzieci chrzczone mają. Tak było, takie wielkie prześladowanie było. Jeszcze chwilę chcę powiedzieć o księdzu Wanagsie, że on tutaj, oprócz tego, że zbu-dował seminarium bardzo wielkie, bardzo dużo było tych studentów, był bardzo taki gorliwy w tym wszystkim, po-magał im, to jeszcze zbudował dom miłosierdzia. Zbudował dom miłosierdzia i tutaj jeszcze jest dużo ludzi takich starszych, którzy przychodzą i mieszkają teraz w tym domu miłosierdzia, a jeszcze do tego wszystkiego zbudował taki instytut religijnych nauk, gdzie uczy się na muzykantów, na organistów, na katechetów, tak że to ksiądz Wanags... Ja też pracowałam tam i tam tak była i tutaj w seminarium trzeba było kuchnię ugotować i tam trzeba było ugotować, bo w tym takiej, sali katechetycznej tam były zajęcia, bo takie początkowe były, trzeba było wszystko organizować, zbiegać się tam, trzeba było na lekcjach posiedzieć, trzeba było egzaminy zdać, bo tak nie było, jeżeli katechetką, to trzeba było wszystko mieć, wszystko, żeby było w porządku, tak że ksiądz Wanags był bardzo dużo zaangażo-wany w tym wszystkim i te kościoły, które pobudował, to dzięki niemu, dzięki Bogu, który przeżył takie wielkie prze-śladowanie i od ludzi tutaj, i od tej władzy i od wszystkich. Chciałabym powiedzieć jeszcze, że tutaj jeszcze pracował taki przed księdzem Wanagsem ksiądz Franciszek Karasiewicz, to on jeździł na wioski w nocy, żeby ludzi tam pospo-wiadać, błoto, szliśmy tam, żeby dziadków pospowiadać, tak że tacy księża byli tacy gorliwi. Ksiądz Franciszek jeszcze tutaj mieszka i jest tu w parafii, tu w seminarium, może też bardzo dużo powie o tym wszystkim. I o księdzu Wanagsie można powiedzieć, że cały czas, do samej śmierci byłam z nim. W końcu to już pojechałam do Polski do pracy, też pracowałam przy kościele i on jakoś tak był takim zapracowanym, on nawet nie wiedział, że gdzieś pojechałam, nie wiedział, gdzie się podziałam. I już przed śmiercią zaprowadził tutaj siostrę, a ja już byłam w Polsce, to on opowiedział przy śmierci: „Ja cię zabiorę, co ty tutaj siedzisz?” I on taki był zajęty cały czas, że on myślał, że ja

jestem, bo praca robiła się, zostawiła wszystkich takich, na ten czas pojechałam tam i on przyjechał, kiedy zawiózł mnie do Polski, taki był moment, że trzeba było jemu jechać w jedną stronę, a mnie w inną stronę i noc była, on mówi: „Ja cię posadzę na pociąg i ty pojedziesz”. Ja mówię: „Ojczy, nie mam tutaj nikogo, jak to pojedę w nocy, boję się”, a on mówi: „Nie, ja cię w nocy nie puszcę”. To on zawiózł mnie do Sulejówka, tam jego współbracia marianie byli, to on tam przenocował, to całe życie jakoś tak mieliśmy czas porozmawiać. Bo cały czas była tak praca, praca, praca, to jakaś [niezrozumiałe] przyszła, zrób, to co było, to zrób. Tam jest to, tam jest to. Od rana do wieczora coś takiego, nawet nie było kiedy najeść się normalnie i wyspać się, bo to nie było kiedy, bo to jak nie adoracja, to jeszcze cały czas życie takie, jakby powiedzieć, płynęło w takim jakimś, w jakichś obowiązkach, w jakimś czymś i tego. To wtedyśmy porozmawiali, on mówi: „Ja cię zabiorę”. I już tak przyjechała tutaj, to on już taki był bardzo chory, i zmarł, już prawie chyba 25 lat. Na pogrzeb ja nie zdążyłam, bo na granicy zatrzymali i już przyjechałam na drugi dzień. Sobie tak myślę, ojczy Władysławie, ty chyba nie chciałeś, żeby cię widziała zmarłego, ale nieraz teraz jak przychodzę do grobu i proszę jego o coś, to cuda różne się dzieją. Nie takie wielkie, ale tak na przykład jak idę z kościółka, a mieszkam tutaj cztery kilometry... Gródek, ale taka miejscowość, nie bardzo jedzie taki transport, bo trudno się dobierać, to ja pomodłę się, hop, jakiś samochód i pojechała, bo jak mieszkaliśmy na wiosce 12 kilometrów stąd, to na piechotę zawsze chodziliśmy do kościółka, bo tam nie było kościółka, to ja teraz sobie nieraz tak zdziwię się, myślę: „Jej, teraz młodzież nie chce paru kilometrów przejść, a tu 12 kilometrów, my takie małe, biegliśmy przez rzekę i każdy raz nas babcia wozila i mama, my biegli co niedzielę”. Nie było takiego... Burza nie burza, tam my biegliśmy, bo to trzeba było iść do kościoła, a zaraz, teraz nieraz widzę swoich takich wnuków, bawię, że pójść do kościoła: „A mnie głowa boli, a deszcz pada, nie pójdziemy”. Mówię: „To weź sobie...”. Straszny diabeł, żeby nie iść do kościoła. I tak... Jak nie pójdziesz do kościoła, potem pogoda taka piękna. Mówię: „No i co?” Jak zostawię ich w domu, przyjdę, mówię, no i co, widzicie jaka pogoda? A wyście się bali. Jakoś wtedy ludzie, jak takie były prześladowania, nie bali się, modlili się, taka ta modlitwa była gorąca i tak, że święty Antoni, on jest tutaj cudowny, bardzo różne takie rzeczy się działy. Na przykład sama tak też doznałam takich cudów, kiedy pracowałam tutaj w seminarium, miałam klucze od wszystkich pokoi i taki był [niezrozumiałe] się tutaj, taki podesłany od władzy kleryk. I tak klerycy rozjechali się, zostałam ja i parę księży, tutaj ksiądz Ryszard był jeszcze. Ja to tak posprzątałam, a nieraz tak widzę, klerycy swoje, to klucze tam zostawiłam, on mi te klucze pociągnął [niezrozumiałe], ich dwa tutaj było i sio, patrzę nie ma kluczy. Przenosiliśmy z pokoju do pokoju, kluczy nie ma. Przychodzę do księdza Ryszarda, mówię: „Ojczy, kluczy nie ma. Przepadły klucze”. On mówi: „Jak przepadły?” Przychodzę do księdza Władysława, mówię: „Ojczy, przepadły klucze”. Toż to i od kuchni, od wszystkiego klucze i tam... A mieszkalam już w tym pokoju przy kościele i tam przepadły klucze, nie ma, nawet zejść nie może, wszystko pozamykane. A on mówi: „Idź do świętego Antoniego klękaj, módl się”. Ja mówię: „Ojczy, pomódlcie się jeszcze ze mną”. Poszliśmy, pomodliliśmy, i co się stało, na drugi dzień te klucze wszystkie były porzucane pod oknami, od tych wszystkich pokoi, które mu nie trzeba było. Jemu trzeba było zająć do pokoju rektora. Tutaj był jeszcze taki ksiądz Jan [niezrozumiałe] Do tego pokoju mu trzeba było zająć, bo tam jego dokumentacja, to wszystko. I tak stało się, że ksiądz przyjechał z takim księdzem Grzegorzem, mówi: „Ojczy, przepadły klucze”. Musi wymienić zamek, bo... Rozumiem dobrze, że tam wszystkiego jego rzeczy i wszystkie te dokumenty tam. Mówię: „Dobrze”. Ale siedzieli, oni razem siedzieli i jedli, tych dwóch kleryków i księży, i on mówi: „To ja jadę”. On był we wszystkim, wszystko wiedział, gdzie ksiądz rektor jedzie i ksiądz rektor wyjechał, a przedtem my modliliśmy się do Antoniego i gorliwie modliliśmy się, żeby msza odprawiła się, żeby odnalazły się klucze te. Rektor wyjeżdża, dojeżdża do futryny, jakby do bramy kościelnej, wjechał tak kręgiem, a oni myli okna w kościele i tak stało

się, że jeden, obiad zjedli, nie ma, drugiego nie ma, gdzie oni się podzieli, nie wiem. Ja to tak siedzę tam na kuchni, też poszłam coś zjeść, bo kuchnia była w takim mieszkaniu. I tu wraca ksiądz rektor i mówi do mnie: „A co, ty już wymieniałaś zamek?” Ja mówię: „Nie, nie wymieniałam jeszcze zamku”. „A jak to – mówi – ja swoim kluczem odmykam, drzwi nie odmykają się?”. A on wtedy na stróża, on coś nie to. „Idź do kleryków, niech postawią, przystawią...”, na drugim piętrze byłam: „Niech przystawią do okna drabinę”. Ja szybko poleciałam, a oni stoją koło drzwi. Kiedy drabina [niezrozumiale] na okno, a on był w środku, taki był przedpokój, jak teraz i drzwi środkowe zamykały się, a kiedy on wszedł i drzwi zamknęły się, on nie słyszał, co tam w korytarzu było, że tam ktoś klucze pcha. Jak on zobaczył, że na oknie drabina, zaczął uciekać, a tu traktor stoi. I wzięli jego. Te wszystkie moje klucze były tak u niego za drzwiami, były takie skatki do samochodu zapasowe, wrzucił tam i mówi: „A ja nie wiem, ja tutaj szedłem, a tutaj patrzę, drzwi otwarte, myślę, pójdę zobaczyć, tam nikogo nie ma”. Zaczął wykręcać się. A przedtem, po tym wszystkim miał jechać do Kamieńca do biskupa Jana i tam miał być cały miesiąc koło niego. To wiadomo, ile by złości narobił tam. Ksiądz biskup, on tak dowierzał, lubił ich bardzo, jak dzieci. A ile by szkody zrobił, to oni jego zawieźli tam i to wszystko, jakby rozwiązała się ta sprawa, klucze moje święty Antoni odnalazł, wszystko się odnalazło i jego wyrzucili z seminarium, i on przez parę miesięcy po mojemu, w Kijowie czy gdzie już został wyświęcony na batuszkę prawosławnego. Był podesłany tutaj. Tak że takie rzeczy święty Antoni zawsze, jeżeli coś, to do świętego Antoniego, zawsze takie rzeczy on jakby mógł zrobić tak, że człowiek co zagubił, co stracił, zawsze znajdowało się. U mnie to jeszcze tak było, że byliśmy w Polsce, nam był podarowany taki magnetofon, co zapisuje, dyktafon taki, dla nas dwóch i było pełno ludzi, ten dyktafon przepadł. Gdzie się podział? No, nie ma. I ta koleżanka mówi: „No, co, tobie dali dyktafon, a ty już gdzieś go zgubiłaś?” I tak młodzież, jechaliśmy autobusami potem, taki chłopak jeden mówi: „O, u was takie, pani Halinko, u was takie ładne dyktafony, takiego chcę”. I już tak u mnie różne myśli, mówię: „Pan ukradł, bo spodobało się jemu”. I w końcu poszliśmy też do świętego Antoniego, modliłam się, do księdza poszłam, mówi: „Przepadło mi”. „Módl się, to i odnajdzie się”. I odnalazło się. Spodobało się jednej osobie. A ja sobie myślę: „Boże, święty Antoni, dzięki tobie”, bo myślałam, na niewinną osobę, a święty Antoni pokazał, gdzie on się podział i odnalazł się. Były takie różne cuda i ludzie na przykład takie różne cuda opowiadają. Jeszcze jak chwilę czasu zajmie, opowiem o takim jednym zdarzeniu, tutaj jedna taka babcia opowiadała, przychodziła, zawsze dzieciom na katechezie opowiadała takie różne ciekawe historie. I ta babcia opowiadała, że towarzyszyła, tutaj było miasto Gródek, to bardzo dużo Żydów było. I to miasto Gródek, tak pobudowano na takich tych podwałach [tunelach], że od tych podwałów można do Kamieńca było dojść tak pod ziemią. I ta babcia opowiadała jedna, że towarzyszyła z takiej wioski z koleżanką, ta koleżanka taka Jewrejka [Żydówka] była i każdy raz do niej przychodziła. Miała dwóch synów, przychodziła i opowiadała jej, że jej mąż [j]q] zostawił i wyjechał. Kto ci pomoże, do świętego Antoniego. I ona jakoś tak i modliła się czy nie modliła się, nie wiem, jak tam ona modliła się, no, opowiada ta kobieta, że nie ma już taki czas, nie ma jej i tu przychodzi ta pani, i mówi: „Słuchaj – ona mówi – gdzie ty byłaś?”. A ona mówi: „No, jeździłam tam do Izraelu, tam jeździłam, odnalazłam swojego męża” i opowiada jej, że jak przyjechała do niego, on miał żonę i wziął żonę sobie rabina, jeszcze nikogo [niezrozumiale], nie powiedział, że ma żonę, pojechał tam i kiedy on zobaczył ją, te dzieci zostawił i mówi do tej swojej żony: „To moja siostra przyjechała” i szybko ją wziął, i mówi: „Pójdziemy na przechadzkę”. Poszli oni, a tam taki był most bardzo wielki, wychodzi ten „szwajcar” [strażnik], patrzy, żeby ludzie nie spadli. Ona chodziła tam z nim i on w pewnym momencie, kiedy „szwajcar” tam odwrócił się, wyrzucił ją z tego mostu i ona leci i święty Antoni, ratuj mnie. I zaczęła się za taką kosteczkę cieniutką, próbuje się zahaczyć, i wisi, i krzyczy, kiedy ten „szwajcar” zobaczył, w tym koszyku pociągnęli, do policji, co ty, skąd ty, czemu

tam się ukazała i ona przyszła do tej żony, to ta żona jej wróciła trzecią część z domu, mówi: „Was trójka, ja jedna, sprzedali dom”, ona jej dała pieniądze, mówi: „Ja z nim się tam rozwiodę”, jego już nie przywiozła i mówi: „Wiesz, co ci powiem? Tam twój święty Antoni i tam jest cudowny, bo on uratował mnie od takiego nieszczęścia”. Takie różne cuda, to takie było naprawdę, że ona uratowała się. Nie wiem, jak tak, no, krzyczała, że święty Antoni ratuj mnie i zawieszona była za taką [niezrozumiałe], mówi: „Sama się dziwię, że ja uratowałam się z tego wszystkiego”. To tyle by było. O księdzu Wanagsie jeszcze powiem, że był bardzo gorliwy ksiądz, bardzo dużo wybudował i naprawdę nie było u niego czasu dla siebie. On swoje buty zdejmował, kiedy ktoś przychodził, kiedy ktoś prosił. Mówi: „Na [masz], tobie”. A ja nieraz przechodzę, mówię: „Ojczy...”, coś tam potrzebowałam, on mówi: „Po co ty to wszystko, ty tak ładnie ubrana jesteś, ty wszystko masz” „A to dobrze, jak mam, to nie trzeba”. A ktoś przychodził, to i pieniądze dawał, i wszystko, i no, był naprawdę... I nie było dla niego tam, jaka rasa człowieka, czy prawosławny, czy katolik. Zawsze [zawsze] był w takiej pomocy, pomagał i cerkwiom, i wszystkim pomagał. To, co prosił, to wszystkim pomagał i teraz ja sobie tak myślę, że już święty, bo bardzo dużo wyprasza się koło jego grobu, jak przytulisz się tak do grobu i poprosisz, to ksiądz Wanags zawsze. Nawet w takich małych rzeczach zawsze pomoże. To dziękuję bardzo.

Tomasz Sikorski: Dziękujemy.

Halinka Migal: Pochwalony Jezus Chrystus. „Święty Antoni Padewski, obywatelu niebieski...”. Tak, módl się za nami. Niech się stanie wola twoja, jak się znajdzie zguba moja. Tak, moja.